

ŻOŁNIERZE NIE DALI SIĘ ZWIEŚĆ...

Po 13 grudnia 1981 r. słowo drukowane – symbol wolnego ducha – okazało się jednym z najważniejszych atutów podziemia¹. Produkcji i kolportażu bibuły dotyczył artykuł 48 dekretu z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym, który za rozpowszechnianie za pomocą druku lub innego środka masowej informacji wiadomości mogących osłabić gotowość obronną kraju lub wywołać niepokój społeczny albo rozruchy² przewidywał wyroki do dziesięciu lat³. Mimo to ciężar najpilniejszej działalności bieżącej o charakterze informacyjno-propagandowym wzięły na siebie setki i tysiące anonimowych najczęściej osób. Wielu z nich przyszło za to zapłacić wysoką cenę długich miesięcy spędzanych „za kratami” i w konsekwencji – powichrowanych, a niekiedy i złamanych życiorysów.

Niniejsza relacja Ryszarda Szpryngwalda – od 1980 do 1981 r. działacza „Solidarności” w swoim miejscu pracy, od połowy lat osiemdziesiątych współpracownika Niezależnej Oficyny Wydawniczej – dotyczy skazania go przez Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na karę trzech i pół roku pozbawienia wolności. Podczas pobytu w sanatorium w Kołobrzegu wręczył on żołnierzom patrolu Wojsk Ochrony Pogranicza jedną ulotkę...

* * *

Od 1965 r. pracowałem jako mechanik maszyn i urządzeń w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego Warszawa II. Za udział w strajku w czerwcu 1976 r. ukarano mnie naganą, zdegradowano i utraciłem jedną czwartą zarobków. Nikt mnie stamtąd nie wyrzucił, ale musiałem odejść. Wydarzenia roku 1980 zastały mnie w Warszawskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego „Żelbet”, w którym odpowiadałem za park maszynowy. Kiedy i w tym zakładzie zaczął się strajk, zorganizowałem komitet strajkowy i zostałem jego przewodniczącym, a następnie – jeszcze przed ukonstytuowaniem się „Solidarności” – tymczasowym przewodniczącym wolnego związku zawodowego. Żaden z kolegów nie chciał nawet słyszeć, że nie zamierzam objąć funkcji przewodniczącego zakładowej „S”, ale wolałem być na tylnym siedzeniu. Wybrano faceta z biura, z dyrekcji. Może niedobrze się stało, ja jako radykał cieszyłem się większą sympatią. Formalnie byłem zastępcą przewodniczącego, choć faktycznie kierowałem komórką związku.

Poszedłem kiedyś na jakąś naradę partyjną i jeden z dyrektorów zwrócił się do mnie ze słowami: „Panie Szpryngwald, czy pan myśli, że partię można tak” – i tu pokazał tzw. gest

¹ Na temat bibuły wydawanej i kolportowanej w stanie wojennym m.in. w: J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*, Warszawa 2010 oraz *eadem*, „Chciałem mieć w rękę broń” – zadrukowane kartki papieru. *Pisma pozacenzuralne w latach 1980–1990* [w:] *NSZZ Solidarność 1980–1981*, t. 2: *Ruch społeczny*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 189–247.

² Dekret [Rady Państwa] z dnia 12 grudnia 1981 r. o stanie wojennym, *Dziennik Ustaw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej* 1981, nr 29, poz. 154, s. 315.

³ W jednym z pokazowych procesów toczącym się przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni Ewa Kubasiewicz skazana została właśnie na dziesięć lat – materialny dowód w sprawie stanowiła jedna ulotka.

Kozakiewicza. „Ależ oczywiście, trzeba tak” – odpowiedziałem takim samym gestem. To było już latem 1981 r., trwała blokada centrum Warszawy. „Solidarność” wydała wtedy słynne plakaty: trupia główka, widelec i nóż. Ja taki plakat powiększyłem i wywiesiłem w oknie warszawskiej siedziby związku. Podziwiała go cała Ochota. Dzwoniono z Komitetu Warszawskiego i kazano to zdjąć, tyle że ja zareagowałem jak zwykle, odpowiednim gestem [Kozakiewicza]. [...]

Trzynastego grudnia [1981 r.] od siódmej rano byłem w budynku Regionu [„Mazowsze”]. Do dziesiątej trwał druk plakatów i ulotek, podawaliśmy je ludziom przez okna, już w stanie wojennym! Nagle podjechały oddziały zomowców. „ZOMO wchodzi! Uciekamy!” – rozniosło się. Na co ja: „Co uciekamy?! Na dół!”. Zabarykadowaliśmy drzwi szafami. Dzięki temu udało się jeszcze wynieść tylnym wyjściem maszyny do pisania. Wyszedłem z kupą bibuły, którą zacząłem rozdawać patrolom. Piechotą dotarłem do ulicy Pruszkowskiej, plakatując ją. Wszedłem do „Żelbetu”. Ciec powiedział do mnie: „Nie powinienem pana wpuszczać, ale pana znam”. Wpuścił i dał klucz od pokoju „Solidarność”. Zabrałem stamtąd całą dokumentację i autobusem – nie miałem samochodu – trzymając pod pachą – wywoziłem.

Przez dwa tygodnie ukrywałem się u kolegi w wieżowcu w Ursusie. Potem wróciłem do domu. Esbecy zapukali do drzwi już następnego dnia. Nie wpuściłem ich jednak i gdy po kilkunastu minutach sobie poszli – przeszedłem ostatnim piętrem na sąsiednią klatkę schodową, opuściłem budynek i znów zacząłem się ukrywać.

W lutym 1982 r. dzięki znajomym learkom, które zrobiły mi odpowiednie prześwietlenie, wyjechałem do Kołobrzegu do sanatorium „Kielczanka”. Z nikim się w tej sprawie nie porozumiewając, wziąłem ze sobą ulotki „Prawda wolnych Polaków” wydrukowane przez Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja. Kiedy zacząłem częstować nimi patrol Wojsk Ochrony Pogranicza – zostałem aresztowany. A było dokładnie tak: 21 lutego 1982 r. około 19.00 szedłem z sanatorium w kierunku morza. Niedaleko molo spotkałem trzech żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe. Rozpocząłem z nimi rozmowę. Zadawałem pytania typu: „Jak się żyje?”, „Co słychać?”, „Jak służba?”. Żołnierze zaczęli o sobie opowiadać, narzekając na stan wojenny. Jeden z nich mówił na przykład, że jego ojciec pracuje w Stoczni Gdańskiej. Po około półgodzinnej rozmowie wręczyłem im jedną z posiadanych przy sobie dziesięciu sztuk ulotek. Wzięli i pożegnali się. Poszedłem na molo. Wracając, zauważyłem tych żołnierzy stojących pod klubem „Bałtyk” i żywo naradzających się. Gdy spostrzegli, że wracam, podeszli i zażądali dokumentów. Obejrzel je i oświadczyli: „No to idziemy na placówkę WOP-u”. Na moje protesty i prośbę, żeby mnie puścili, jeden z nich – ów syn stoczniowca, zdjął z ramienia broń i zapowiedział, że w razie mojej ucieczki będzie strzelał. Był w ogóle najbardziej z całej trójki oburzony. Ich nazwiska brzmiały: Zdzisław Senior (dowódca patrolu), szeregowy Waldemar Wiśniewski (ten z ojcem w stoczni) i szeregowy Ryszard Olejnik. Na placówce zostałem zaprowadzony do oficera dowodzącego. Ten wygłosił do mnie małe przemówienie („po co to panu było, teraz będzie miał pan kłopoty...”) i polecił odprowadzić do celi, mówiąc, że musi wezwać milicję. Już zamknięty w pustym pokoiku usłyszałem, jak zbiegło się wielu żołnierzy (rezerwistów). Rozpoczęła się szamotanina i rozległ się głos: „Wy sukinsyny, coście zrobili”. Tak wyglądała reakcja jakiegoś oficera. Po chwili wszedł Zdzisław Senior i zaproponował mi, że jeżeli mam coś jeszcze przy sobie, to żebym to oddał, a on to zniszczy. Pomyślałem, że i tak mnie zrewidują, stąd oddałem mu pozostałe ulotki. Jak się później okazało, rzeczywiście je zniszczył. Wkrótce przyjechał radiowóz MO. Milicjanci zrewidowali mnie i zawieźli samochodem do komendy miejskiej. Przez oficera dyżurnego i milicjantów byłem traktowany uprzejmie, nawet dostałem zapalniczki, żebym mógł palić w celi. Następnego

dnia zostałem wezwany do dyżurki. Tam esbecy, którzy przybyli z Koszalina, natychmiast założyli mi na ręce kajdanki i skutego przeprowadzili do samochodu. Leżała w nim już moja torba podróżna wzięta z pokoju w sanatorium. Miała ona podwójne dno i w tej właśnie skrytce trzymałem pisma – sprawdziłem, okazało się, że wciąż tam są. Podczas jazdy usiłowano mnie nakłonić do powiedzenia, kto dał mi ulotki, jakie mam kontakty w Kołobrzegu itp. Obiecywano, że jak powiem, to wyjdę na wolność, a jeśli nie – zrobi mi się sprawę. Nie zgodziłem się – usłyszałem więc: „No to zarobicie kilka lat”.

W KW MO w Koszalinie od razu zaczęło się przesłuchanie. Stwierdziłem, że bibułę kupiłem po drodze w pociągu za pięćset złotych. Opisałem wygląd tego, który mi to rzekomo sprzedał. Przesłuchujący roześmiał się: „Panie, za kilka ulotek dał pan pięćset złotych? Za kogo nas pan ma?”. Byłem już pewny, że poza ulotkami (dwie sztuki) nic więcej w torbie nie znaleziono. Na pozostałe pytania odmówiłem odpowiedzi. Po przesłuchaniu, na polecenie śledczego: „Prowadzić pod dwunastkę”, zostałem zaprowadzony do celi na pierwsze piętro. Prowadzący odnosił się do mnie grzecznie. Wieczorem przyprowadzono drugiego więźnia. Mocno podekscytowany opowiadał, że wioził bibułę i że zwinięto go w pociągu. Nie dawałem się wciągnąć w rozmowę – po jednym dniu już go nie było. W koszalińskiej komendzie przebywałem łącznie dwa tygodnie. W tym czasie miałem tylko dwa przesłuchania. Typowe – dwóch śledczych, jeden „dobry”, drugi „zły”. Na drugim nakazano mi pisać – co argumentowano koniecznością pobrania próbek pisma – pismem zwykłym i drukowanym, według dyktowanego tekstu. Okazał się wybitnie antysocjalistyczny i dlatego po zakończeniu dyktowania napisałem w poprzek kartki, że pisałem pod dyktando śledczego. Padały pytania o pochodzenie i cel posiadania pieczętki drewnianej z „wroną”, którą miałem w torbie, jak również pieczętki komisji zakładowej i zaproszenia na zjazd regionalny „Solidarności”. Ja wziąłem to ze sobą na pamiątkę. Usiłowano mi wmówić, że brałem udział w obradach Komisji Krajowej w Radomiu.

Po dwóch tygodniach trafiłem do więzienia w Szczecinku. Początkowo siedziałem z szesnastoma kryminalistami. Trwało to tylko dwa dni, a zostałem stamtąd zabrany, ponieważ oni byli spragnieni informacji o „Solidarności”, a ja je im obszernie przekazywałem. Nie podobało się to służbie więziennej obawiającej się buntu. Od tej pory byłem w celi z „politycznymi” z Białogardu. 19 marca przed Sądem Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy odbył się mój proces, po którym znalazłem się w Stargardzie Szczecińskim. Tu przywitano mnie wrzaskami, wyzwiskami i groźbami. Wkrótce dostałem zgodę na widzenie z żoną. „Funkcjonariusze przyszli do domu, dzieci się bały, wiesz, co się działo? Wpadli z długą bronią w dziecięciu, córka zapytała: »Co, tatusia zastrzelili? Zabili?«” – relacjonowała. Na szczęście przed wyjazdem do sanatorium schowałem – pod szufladą w szafie w przedpokoju – egzemplarze pierwszego po 13 grudnia numeru „Wiadomości”. Było tego osiemdziesiąt sztuk.

Później różni ludzie dziwili się: „Ty za ulotki siedzisz?!”. Dostałem trzy i pół roku. I tak o półtora roku mniej, niż żądał prokurator. Już później mogłem przeczytać w „Głosie Pomorza”: „Żołnierze nie dali się zwieść fałszywym wiadomościom”, i dalej: „R[yszard] Szpryngwald [...] 21 lutego br. wieczorem, będąc na kołobrzeskim moku, podszedł do patrolu wojskowego, w skład którego wchodziło dwóch szeregowców i dowódca w stopniu starszego szeregowca. Zamieniwszy z żołnierzami kilka słów, wręczył jednemu z nich »do poczytania« ulotkę. [...] Treść ulotki zawierała – jak stwierdzono – nieprawdziwe informacje wymierzone w patriotyczną świadomość żołnierzy i tym samym stanowiące zagrożenie ich sprawności i gotowości bojowej”. Zostałem skazany na mocy artykułu 48 ustawy 1 i 4 dekretu o stanie wojennym. Moim obrońcą był Jan Daszko, który próbował wykazać, że ulotkę wręczyłem żołnierzom do przeczytania, co nie jest równoznaczne z rozpowszechnianiem.

W Stargardzie trzymano mnie przez trzy miesiące – rygor mniejszy niż w Szczecinku, gdzie apele odbywały się w asyście zomowców z pałkami usiłujących sprowokować więźniów tak, aby móc tych pałek użyć. Warunki bytowe panowały jednak fatalne, jedzenie podawano podłe. Na początku maja wziąłem udział w głodówce, którą chcieliśmy wywalczyć status więźniów politycznych, prawo uczestniczenia w Mszy świętej oraz poprawę stanu urządzeń sanitarnych. Trwała siedem dni, ale uzyskaliśmy tylko nieco lepsze traktowanie. Siódmego czerwca razem z trzydziestoma czterema działaczami „Solidarności” znalazłem się w więzieniu we Wrocławiu. Później był jeszcze Strzelin. W obu miejscach przebywałem łącznie dziewięć miesięcy. We Wrocławiu z innymi politycznymi wydawaliśmy nielegalną gazetkę. Mieliśmy ukryte radio i w nocy – po ciemku – spisywałem podawane przez Wolną Europę informacje, a następnie przekazywałem do kolejnych cel.

Mury więzienne opuściłem dokładnie 21 marca 1983 r., czyli po ponad roku od aresztowania. Półroczną przerwę w odbywaniu kary dostałem z powodów rodzinnych. Wróciłem do Warszawy i już trzeciego maja poszedłem na manifestację. Kiedy zobaczyłem, że jakiś „esbek” goni naszego chłopaka rozdającego ulotki – podstawiłem mu nogę. Potem sam musiałem uciekać, bo się przewrócił i rozbił sobie nos. Gdyby nie kierowca autobusu, który otworzył przede mną drzwi, szybko je zamknął i odjechał, pewnie zostałbym złapany. Ciężącym nade mną wyrokiem w ogóle się nie przejmowałam i zawsze, jak tylko się coś się działo, chodziłem na Starówkę. Wkrótce – w lipcu – objęła mnie amnestia.

Po wyjściu z więzienia musiałem zacząć rozglądać się za pracą. W końcu zatrudniłem się w jakimś zakładzie stolarskim na Targówku. Toczyłem z drewna różne rzeczy, nogi stołowe, stoły ozdobne, artystyczne... Moi szefowie wiedzieli, że nie przestrzegałem „porządku” stanu wojennego i siedziałem w więzieniu. Podczas przyjmowania do pracy usłyszałem: „Panie Ryszardzie, liczymy, że pan nie będzie nam robił rewolucji w tej spółdzielni”. Odpowiedziałem: „A co wy tu macie, kilkudziesięciu pracowników, to nie trzy tysiące. To dla mnie żadna liczba”. Pojawiały się tam jednak różne ulotki, jaja się nieraz robiło... Wtedy Jerzy Urban strasznie bluźnił Polakom. Urbana więc zrobiłem, to znaczy wytoczyłem – takie uszy wielkie, pokleiliśmy, wielka głowa. Mało tego! Głowę tę posadziłem na tym, takim, no... członku męskim. Powiesiłem to z kolegami nad drzwiami na hali, cztery metry nad ziemią. Jak prezesi się o tym dowiedzieli, przyszli i zapytali, czy mogą sobie tego Urbana wziąć na górę do biura, żeby wszystkim pokazać. Tak im się spodobał.

Miotałem się po różnych demonstracjach i „zadymach”, trochę drukowałem. Nie pamiętam, kiedy dokładnie – może w roku 1984 czy też 1985 albo i 1986, chyba piątym – znalazłem w końcu swoje miejsce. Zająłem się produkcją gilotyn dla podziemia książkowego. Zrobiłem ich łącznie sto pięćdziesiąt – dwieście, pracowałem w budce na swojej działce przy ulicy Ostrobramskiej. W 1989 r. dzięki pomocy kolegi Marka Kubina wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Miałem być tam pół roku, a wróciłem po czterech latach. Chciałem zarobić trochę pieniędzy, bo przez jedną z wpadek – w 1987 r. – naprawdę dużo straciłem. Po powrocie zająłem się handlem książką, w 1993 r. wszedłem do spółki zaopatrującej biblioteki. Obecnie pracuję jako budowlaniec.

Oprac. Justyna Błażejowska

Relacja przygotowana w ramach projektu Stowarzyszenia „Pokolenie”